

Światelko

Jakiś czas temu wymieniłem w domu wszystkie żarówki na diodowe. Oszczędność podobno ogromna, a i z głowy problem na najbliższe 15, co tam... 30 lat! Bo tyle ma działać najbardziej nowoczesne źródło światła.

Maciej Stryjecki

Normalny człowiek patrzy na moc żarówki i na tej podstawie dobiera sobie właściwą do pokoju dziennego, kuchni, łazienki itp. Niestety, to obecnie niewystarczająca wiedza, o czym się przekonałem na własnej skórze. Równie ważna jest temperatura światła. W przedpokoju zainstalowałem w plafonach sześć żarówek 6000 K. Kiedy zobaczyłem efekt, ciarki przeszły mi po plecach. Atmosfera pomieszczenia przypomina teraz poczekalnię w szpitalu. Ale nie w eleganckiej klinice, tylko w przerażającym budynku z horrorów, gdzie amputują wszystko, jak leci, zwłaszcza amerykańskim turystom. Trupioblada biel bywa czasem przydatna, na przykład przy szukaniu szpilki na parkiecie. Dlatego się nie przejmuję, bo i tak pomieszczenie pełni rolę korytarza, przez który tylko przechodzę i wieszam w nim ubrania. Inna rzecz, że czekam, kiedy żarówki się przepalą. Nawet jedna 2700 K zamiast trupiobladej robi zauważalną różnicę. Jednak te bańki, jak na złość, świecą dzielnie.

Co innego w sypialni. Tam zakupy były już przemyślane. Co więcej, poprzedzone dość długimi poszukiwaniami. Miało być ciepło i przytulnie. Jakies 2500 K, może nawet mniej? Znalazłem – 1900 K nieznanej chińskiej firmy, 9 zł sztuka. Na opakowaniu producent deklarował żywotność 20 lat, tymczasem minął rok i trzy z sześciu podziękowały za współpracę. Tak samo się stało z mocną (20 W) żarówką w kuchni. W łazience też – niecały rok – i do kosza. Co z tego, że dostajemy gwarancję na 10 lat. Kto się będzie bawił w dochodzenie swoich praw, pisanie do importera,

wysyłanie zużytej i udowadnianie, że nie jest wielbłądem i zna zasady używania pstryczka w ścianie? Nawet jeżeli żarówek było sześć, to nadal szkoda czasu.

Mam wrażenie, że na to właśnie liczą importerzy, sprowadzający żarówki prosto z Aliexpressu, po dolarze za sztukę (przy większej ilości można nawet zamówić pudełko z logiem własnej firmy). Padnięte żarówki łączyły dwie cechy: nieznana marka i cena – prawdziwy żer dla skner.

Miłym kontrastem okazała się żarówka renomowanej marki, zamontowana w lampie świecącej w suficie. To moje podstawowe źródło światła, przy którym pracuję, wypoczywam i spędzam większość czasu. Cztery lata temu kosztowała jakieś 70 zł. Przesada? Pozornie tak, ale na tle wspomnianych no name'ów – najlepszy zakup. Do tego światło ma miłą barwę. Niby 2700 K, tak samo jak w kuchni, ale różnicę widać.

Kolejną obserwacją jest to, że wszystkie miniaturowe LED-y są do bani. Nawet nie chce mi się opisywać, z czym to się wiąże. Przyjmijcie na słowo: tylko gwint E27, ewentualnie E14. Po przygodach z miniaturkami wymieniłem trzy żyrandole i mam spokój.

Nauczyłem się jednego: jeżeli chcę mieć dobre światło, kupuję tylko żarówki znanych firm, w dodatku zawsze te droższe. Wtedy faktycznie oszczędzam prąd. Jestem eko i na dodatek wzrok mi się nie psuje. I faktycznie – mam spokój na lata. A przynajmniej tak to na razie wygląda.

Czy Wam to czegoś nie przypomina? Jeden wzmacniacz kosztuje 500 zł, drugi 5000 zł, a trzeci 50000 zł. Gdzie tu sens? Jak się okazuje, żarówka też kosztuje 9 zł, 70 zł, a nawet 200 (są takie, a jak poznać możliwości nowoczesnego oświetlenia, to Wam szczęka opadnie). Wzmacniacz – wystarczy jeden, żarówek w domu trzeba czasem i 50, więc wydatek może być spory. Klocek „na całe życie”, na przykład McIntosh czy Accuphase, też wydrenuje kieszeń. Wyrzucona kasa? Z perspektywy posiadacza od 15 lat – niekoniecznie.

Jest jednak druga strona medalu. Wzmacniacze lampowe, gramofony i inna „starzyzna”, wywołująca wiele emocji. W czasach, kiedy w chmurze mamy wszystkie nagrania, jakie kiedykolwiek powstały, jakiś dziwak wyciąga czarną płytę z papierowej koperty...

Po co to ludzie kupują? Ano, w tym samym celu, co tzw. żarówki Edisona. Identyczne jak te z końca XIX wieku. Sprawność energetyczna na poziomie diesla z tamtych czasów. Ilość światła? Przy 60 watach – jak z lampy naftowej albo kilku świeczek. Ze zdroworozsądkowego punktu widzenia to kompletnie bez sensu. Żeby oświetlić duży pokój, trzeba by się znów przyzwyczaić do szaleńczych obrotów licznika. Ale dwa, trzy punkty, najlepiej ze ściemniaczem, i mamy tak przytulną atmosferę, że tylko słuchać i słuchać.

Swoją drogą, to ciekawe, że w czasach graniczącego z obłędem wyścigu na oszczędzanie energii takie rzeczy jak żarówka Edisona stają się modne. Moim skromnym zdaniem, to światelko w tunelu. Przynajmniej dla tych, którzy jakoś nie polubili zasilaczy impulsowych, a kiedy im się przyśni, że potężne końcówki mocy w klasie A odeszły do muzeum, budzą się złani zimnym potem.